

Ann.

ZIEMOWIT

Książę Mazowiecki.

POEMAT Z PODAŃ LUDU

napisał

Michał Bałucki.

Trzy serduszka nie do pary,
Zawsze smutno, zawsze biedno,
Bo pozostać musi jedno,
A nadłamać drugie wiary,
A rozpaczyć musi trzecie.

Z dram. J. Szujskiego „Zborowscy.”

W KRAKOWIE.

CZCIONKAMI DRUKARNI „CZASU“.

1861.

1,50 zł

I.

Wśród świerkowego lasu stare mury
Rawskiego zamku sterczą — u stóp góry
Spioniona Rawa, jak pies u nóg pana,
W ciemnych parowach skał warczy wezbrana.
Nad zamkiem niebo milczące, wspaniałe,
Jakby z sinego kamienia żłobane,
Iskrzy gwiazdami — niżej chmurki białe,
Sieroty jakieś, bez matki, zbłąkane,
Skulone płyną, a wiatr miota niemi,
I patrzą smutne po niebie i ziemi.

Na zamku jasno! służba w świetnej szacie,
Bo znacznych gości najechało siła,
W dziedzińcach wrzawa, a szlachta w komnacie
Miód do ust gwarnych z puharów chyliła.

I Mazowiecki książę siadł za stołem,
I po pijanych twarzach wodził kołem,
Kościste palce z siwą brodą kuma,
Srebrny włos czesze, i tak sobie duma:
— Ano tron pustką znów w starym Krakowie,
A ja Piast przecie, i radni panowie
Wtórem mi biją, to może obiorą,
Gdy się na sejmy do Krakowa zbiorą.
Tak dumal książę i chwycił szklennicę,
I wszyscy wstali i wołali głośnie:
Wiwat król polski! — On dumą wzwał lice,
Kłaniał się w koło i śmiał się radośnie.

Lecz w jednej z komnat, jak w grobie zamkniętym,
Ciche drżą modły, mława lampa płonie —
Niewiasta biała przed obrazem świętym
Kłęczy schylona w modł złożywszy dłonie;
Rzęsy jej drżały tak srebrnymi łzami,
Jak trawy rosą drżą letniego rana,
A twarz przecudna bólem i troskami
Była, jak karta, cała zapisana;
To żona księcia i Rawskiego pana:

— Czyście widzieli nad piaszczystym brzegiem
Kwiat, który woda wciąż muli i nurzy,
I falą depce i rwie za swym biegiem,
A on złamany, chociaż z piętrem burzy

Na czole wstaje, ku niebu się wspina,
Podarte listki na słońcu rozpina?
Taką niewiasta w swej modlitwie była.

— Czyście wy czuli jak to żyć rozpacznie,
Kiedy się dusza w dwie myśli rozkruszy
Sprzeczne, i kiedy myśl o myśl tuc zaczyna,
Aż spokój, szczęście wypłoszą precz z duszy?

W zamku jej ojca był giermek uroczy,
Z ognistą duszą, a czarne mu oczy
Jak dwie jaskółki za księżną latały,
I tak miłośnie i modlnie patrzyły,
I ona była tak młoda — on młody,
Więc przyglili k' sobie jak dwie krople wody.

Lecz jasne rano prędko przeminęło,
I szczęście Hanny we łzach utonęło:
Ojciec niezważał na szloch dziewczęcia,
(Wszak każda dziewczka płacze u kobierca),
I wydał córę za starego księcia,
I złamał naraz dwa życia — dwa serca.

Śliczna ta Rawska pani! — twarz jej biała,
Jak z alabastru kuta, cudnie lśniła
W czarnej oprawie jedwabnego włosa,
I w kształt się cudny gięła szata długa.
I nieraz Janusz, stary księcia sługa

I ulubieniec, patrzy w nią z ukosa,
Spluwa i mówi: „urodaż — uroda,
„Szkoda że Niemka, bardzo wielka szkoda,
„Byłaby w niebie, wartać nieba, warta.“

Bo Janusz Niemca bał się jako czarta,
Żegnał się przed nim — ot zwyczajnie stary,
Głupi a nieuk, zabobonnej wiary.
Gdy ksiązę w Niemce z hufcami licznymi
Po żonę jechał, on jak snop na łanie
Do nóg mu runął prosząc: „Nie jedź panie!
„Bo sobie smutek przywieziesz z tej ziemi. —
„Ojciec mój zginął w wyprawie Trojdena
„W niemieckich puszczech, i córka jedyna
„Dzieckiem porwana dziś wrogowi może
„Przędzie len biały i zaściela łożę,
„I zapomniała może swojej mowy,
„I swego domu i mej siwej głowy —
„Więc oną ziemię przekląłem dla tego
„Od niemowlęcia do starca siwego —
„Może Bóg starca wysłuchał przekleństwo.
„Więc ja ci panie dłońmi nogi zwiążę,
„I tam nie puszczę, bo ja wierzę ksiązę,
„Że z onej ziemi pójdą na nas biedy.“

Tak prawił Janusz — ksiązę śmiał się wtedy
Na całe gardło, mówił: „próżne mary,
„Niemka czy Ruska, byleby uroda,
„A mnie potrzebna bardzo żonka młoda,
„Bym zmłodniał przy niej — zmłodnę, ciesz się stary.“

I Niemka żoną książęcia została,
I pierwszą miłość, co szczęściem nazwała,
Los jej połamał i rzucił pod nogi,
Że tego podnieść niemogła bez grzechu,
I czarnym kwiatem zasłano jej drogi,
Gdzie już nie było dla niej szczęścia, śmiechu;
Więc miłość grzeszną chciała zabić w sobie,
I łzami zalać i krzyż jak na grobie
Postawić w sercu, i być uświęconą
Bólem poświęceń, i być dobrą żoną.
Czylisz dotrzyma? niewiem — w takiej chwili
Anioł i szatan nad sercem się chyli —
Czasem pierś pęknie, nim walkę wytrzyma,
Chyba pierś twarda, lub w niej serca niema.

Drzwi się otwarły i ksiązę wszedł niemi,
A butnie stąpał po miękkich dywanach,
Twarz mu pokrasła wiwaty częstemi,
Wesołym gwarem przy gościach, przy panach,
A oko w siwej iskrzyło tak rzęsie,
Jak słońce zimą przez śnieżne gałęzie.
Przyszedł, bo bardziej niż pochlebstwa szumy
Kochał swą żonkę — dumę swojej dumy.

„Wy tutaj panie?“ niewiasta zagada,
I opuściła modlitewne łożę,
I żywą krasą spłonęła twarz blada,
Niewiem czy z wstydu, czy z bojaźni może.

A księżę żonę otoczył rękami —
Gładził jej włosy, i mówił słowami:
„Co tobie Hanno? serce coś nierade,
„I oczy mokre i liczko masz blade,
„A dusza w smutnych myślach tak ci ginie,
„Że rzadkie słowo z bladych ustek płynie.
„U twego ojca Hanno byłaś inną;
„Kiedy pamiętam zajadę gościna,
„Kiedy w świetlicy za ciosowym stołem
„Z puharem siedlim i gwarem wesołym,
„To stary ojciec w długim rozhovorze
„O swej się dziewce nagadać nie może:
„Jak nieraz smutny usiedzie, a wiankiem
„Czarne mu dumy posiędą wśród czola —
„Ty wnet przybiegasz i — jak pszczołka rankiem
„Nad wonnym kwiatkiem — latasz do koła,
„Wesołe słówka brzęcząc mu do ucha,
„Aże się stary zapatrzy, rozslucha,
„I w twych pieszczotach stare topi bóle;
„I czemuż Hanno teraz ty nie taka?
„W pacierzach usta, a w różańcu dłonie,
„Na klęczkach ciągle jak mniszka w zakonie.

„Jeżeli na dnie masz zgryzot robaka,
„Co modłów pragnie, i poi się łzami —
„Powiedz, a klasztor postawię w ofierze,
„Modlitwę panu kamienną za nami,
„I mnichy szeptać w nim będą pacierze
„Za mnie, za ciebie, co wieczór i rana,
„Tylko ty mniej się módl, moja kochana!

„Może ci niedość mój zamek bogaty,
„Może się niedość błyszcza te komnaty —
„Może szat mało i perł w komorze?
„Powiedz, rozkazuj — poszlę choć za morze.
„Jeno się nie smuć, bo na żalność czyją
„Ludzie otwarte mają ucho — oko,
„I błoto w garści, i radzi niem bija,
„Gdzie im za jasno, gdzie im za wysoko.
„Może ktoś, widząc w płaczu twe oczęta,
„Myślałby sobie, że ty nie kontenta
„Ze mnie starego, bo ma broda siwa;
„Że ci się gaszka młodego zachciewa.
„O! jabym nie chciał na mej tarczy z złota
„Choć kroplę kiedy widzieć tego błota —
„Rozumiesz Hanno?“ —

Mówił, i w ramiona

Otulał drżącą — a wtedy mu ona
Z za siwych włosów wyglądała prawie
Jak kwiatek polny w przydrożnej kurzawie.
A potem poszli oboje dłoń w dłoń
Zasiąść w świetlicy przy gościach, przy panach.
Pusta komnata zda się tęsknić po niej,
I modły Hanny konały po ścianach.
A z drugiej strony słycać było gwary,
Jak na cześć Hanny puhary spełniono,
Urodę... gości podziwiałło grono,
Aże rósł w dumę, w rozkosz księżę stary.

II.

Książę wyjechał na krakowskie pole,
Więc zamek pusty — Hanna przy kądzieli
W komnacie sama, na jej bladym czole
Zachodni promień złotem drży i dzieli
Z nią myśli, co jej szumią dziś po głowie.
Słońce już za las zapadło w połowie,
I wiatr, co drzemał pomiędzy liśćmi,
Zbudził się, wybiegł, potrząsnął listkami,
Pobiegł za słońcem a w szybkim przechodzie
Całował kwiaty, i wonne oddechy
Z otwartych ustek brał... i po ogrodzie
I chłodnej rosie rozsiewał z uciechy.
Wysokie drzewa zielonemi głowy
Chwiały... i gwarne szumiały rozmowy.
A Rawa szemrze, szeleszcze u spodu,
Niby pacierze w zaroślach ogrodu.

Hanna na białej oparła się dłoni
W oknie komnaty, pamięcią coś goni,
I o czemś marzy, jasne oczy duże
Wpatrzyła w słońce, co na szczytach boru
Konało.— Zgasło, pociemniało w górze,
I cicho gwiazda wystrzeliła blada
Jak pierwsze słowo dzieciny wieczoru,
Nim całym krociem gwiazd do niej zagada.
Patrzyła Hanna, ale wzrok był szklanny,
Niewidział świata — w myślach dusza Hanny,
I dawne latka śmieją się jej senne,
Jak gwiazdy nocą przeze mgły jesienne.
I od dum jasnych, z którymi igrała,
Płonęła kwiatów rumieńcem twarz biała.

I długo, długo tak senne widziadła
Dawnego życia gonila różowe,
Aż myśl znużona znów na ziemię padła,
I Hanna smutnie w dół zwiesiła głowę.
O! bo wspomnienia, to iskry, co nocą
W popiele myśli bryzgają, migocą —
I człek w nie patrzy, a gdy zgasną w zmroku
To potem smutniej jeszcze duszy — oku.

W tem za ogrodem koń zagrał kopytem,
W obłoku kurzu ktoś śladem ubitym
Leciał do zamku. Trąba straży, echem

Po pustych murach zagrała potężno,
I stary sługa księcia ulubiony
Wszedł do komnaty i pokłon schylony
Uczynił księżnie, i rzekł: „wielka księżno!
„Z niemieckiej ziemi od ojca waszego
„Poseł przyleciał — czy mam wpuścić jego?“

Dla czegoż księżna pokrasła tak cała?
„Wiedźcie go tutaj Januszu“ szeptała,
I drżącą ręką kądzieli szukała,
A na spokoju siląc się udanie
W powagę księżny kryła pomieszanie.

Do komnat księżny wszedł gernek z nad Niemna,
Czarne mu włosy pływały do koła,
Dwie zmarszczki bólu szły mu środkiem czoła,
A oczy ciemne tak jak przyszłość ciemna.
Wszedł, i na księżnę wpatrzył oczu dwoje,
I długą chwilę milczeli oboje.

„Księżno — rzekł potem — rodzic was pozdrawia,
„O zdrowie pyta i podarki stawia
„Przez moje dłonie“ — i podał w jej dłonie
Zamorskie dary, a oboje drżeli
Jako drży ziemia, gdy wulkan wre w łonie,
I oczy w ziemię obrócone mieli.

Po chwili drżącym głosem księżna biała
O swego ojca giermka znów pytała.

„Wasz rodzic księżno? o zdrów, wesół stary,
„Służba mu winem napelnia puhary,
„I w gości gronie chwali to zameźcie,
„Pijąc za księżny mazowieckiej szczęście.
„Ale są inni księżno w ojca dworze,
„Co radość starca przeklinają może,
„Co mrają z tęsknoty, a umrzeć nie mogą,
„Kasając własną duszę męką srogą,
„Jak ten co w grobie ze snu się obudzi.
„Czy o tych księżna spytać się nie trudzi?“
Tu mu głos zcichnął w syk gadziny prawie,
Co się od bólu przerzuca po trawie,
I do nóg księżnej przypadł: „Hanno miła!
„Czyś ty już pamięć dawnych dni straciła
„Naszej miłości? — czy nie zimno tobie
„Przy starym księciu, w takim ciemnym grodzie,
„Przy zimnem sercu i przy siwej brodzie?“
Kłęcząc i ręce w prośby złożył obie.
„Ty milczysz? wiesz ty, że w mem życiu całym,
„Prócz twej miłości, ja już nie miałem.
„To też jak lampa przed świętym obrazem
„Tłala mi w duszy — a ty jednym razem
„Dmuchałś niewiarą i życie mi ciemnie,
„I dym z tej lampy duszę gryzie we mnie!“

„Prześciancie — szeptała księżna — smutna dola,
„Lecz się nie zmieni, ojca była wola.“

„O taką wolę złamać nie grzech było
„Dumnego starca, co swą córkę miłą
„Sprzedał, by księcia nazwał zięciem drogim,
„Choć zięć z narodu, co naszemu wrogim.
„Oh! wasza miłość — to pajęczce nici,
„Gdy w słońcu szczęścia — to jak złoto świecie
„A kiedy burza nieszczęście przyjdzie potem,
„Zmięta upada i staje się błotem.“

Tak mówił giermek i pociemniał twarzą,
I czarne oczy deszczem łez się skarża,
I zrozpaczonej duszy boleść cała,
Cała tęsknota za szczęściem miłości
Tak na łzach drżała, że zdało się skała
Zapłacze nad nim z żalu i litości.
Nie zapłakała księżna choć bolesna,
W chłodną powagę białą twarz oblekła,
Choć serce wrzało, i do giermka rzekła:

„Przestańcie! wiedźcie do kogo mówicie.
„Księżę mym mężem, a i moim rodem,
„I jego naród dziś moim narodem,
„Jego obelga szarga moje życie,
„A jego sławą i ja dziś odziana.
„Idźcie już spocząć strudzeni po drodze,
„Po listy jutro stawicie się z rana!“

Gdy giermek wyszedł, księżna na kolana
Przed męką pańską padła na podłogę,
I jęk cichemi wyleciał słowami:
„O Panie Boże! zmiłuj się nad nami!“

III.

Już w polu dzika umilknęła burza,
Tylko grzmot głuchy huczał z po za wzgórza
Cichnąc — i błyski stronami migaly,
Wezbrane wody pod zamkiem szumiały
Mętne; — po burzy noc cicha, pogodna —
I ziemia deszczem błyszcząca i chłodna.

Księżyc odchylił obłoków zasłonę,
I — jako matka na dziecię uspione,
Kiedy po płaczu w słodki sen zamarzy,
A ona lzy mu wycaluje z twarzy —
Patrzył na ziemię, i w senne ją czoło
Srebrnym promieniem całował, i w koło
Tulił ją we mgły tkane promieniami;
I niebo na nią patrzyło gwiazdami.

Na zamku cicho — straż na wałach drzema,
Gościnną izbą pusta, giermka niema,
I drzwi otwarte, a światło kaganka
Czerwonym w górę wzdyma się płomieniem,
Niby tęskniąca za giermkim kochanka,
I drżąc po ścianach z przeczucia i trwogi,
Zdało się, że go wrócić chce z tej drogi.

Cicho! ktoś stąpa po zamkowej sieni —
To Janusz czuwa; pośród nocnych cieni
Siwemi oczy tak ruchliwie śmiga,
Jak jastrząb stary, gdy ptaszynę ściga.
I najprzód z cicha zajrzał do komnaty,
Spojrzał na giermka rozrzucone szaty,
Na broń, i splunął, mądrą kiwał głową —
I poszedł potem w ulicę lipową,
A na wilgotnej ścieżce wśród ogrodu
Oglądał pilnie ślad męzkiego chodu,
I szedł do okna księżnej za tym śladem.

Przed oknem księżny giermek z licem bladym
Kłęczał wpatrzony w górę — i ręk dwoje
Na strunach harfy miał jako powoje,
Co się pną drżące — przy blasku księżycy
Zacięte bólem usta, blade lica
Posągu cichość i powagę miały;
Jeno nie męzkie lzy — co z ocz kapaly,



I smętnie, cicho po strónach dzwoniły,
Że posąg żyje i cierpi — mówiły.

Nagle uderzył w struny — i pieśń drżąca,
Giętka, namiętna, prośbami gorąca
O okna księżny tłukła się skrzydłami,
I jako szatan kusila słowami:

Szumi sokoł skrzydłami,
Leci górą z chmurami
Za samicą do klatki porwaną —
W czarnej zbroi na koniu
Leci rycerz po błoni —
Leci, tęskni za swoją kochaną.

A kochana bezmała
Żoną grafa została
W dużym zamku, na jasnym gdzieś dworze.
Graf ucztami się bawi —
Żonka we łzach się pławi —
Rycerz śpiewa przed oknem na dworze.

I zaklinać ją zaczyna,
Tak miłośnie, rozpacznie,
Z takim bólem, tęsknotą i mocą,

Że grefina wyrzała,
Liczeko łzami zalala,
I uciekla z rycerzem północą.

Leci rycerz ustronią,
Ostre strzały go gonia,
Strzały grafa i jego siepaczy —
On grefinę w płaszczy słońci,
Uciekł — uszedł pogoni,
Lecz po ziemi krwią swoją ślad znaczy.

I na konia się skłoni —
„Moja luba — rzekł do niej,
„Widzisz klasztor ten biały wśród góry?
„Gdy ja usnę w mogile,
„Przemódl życia tam chwile,
„Lecz w zamkowe niewracaj już mury.“

Rzekł i wargi mu zbladły —
Ręce zimne w dół spadły,
I nieżywy się zwałił na konia.
Ona trupa schwyciła,
Zcałowała, spieściła,
I pobiegła, gdzie klasztor — przez błonia.

Szumi wichur po lesie —
Trupa z sobą koń niesie,
Do rodzinnej poleciał z nim włości;

A w zakonnej już bieli
Grafka modli się w celi,
A graf rozpił się z żalu i złości.

Zcichnął — pieśń echem tłucze się o mury,
Janusz pięść ścisnął i mruzczał, — ponury
Poszedł ku bramie, zbudził straż zamkową,
I wiódł ich z sobą ulicą lipową
Pośród drzew gęstych, i siwemi włosy
Strząsał z gałęzi srebrne krople rosy.

Szli i milczeli — Janusz stanąć kazał,
Ręką na okno księżny im pokazał,
Z którego światła biła struga jasna:

„Idźcie! — rzekł do nich — i tego tam błazna,
„Co w okno księżny tak śmiały wzrok ciska,
„Zwleczenie na ziemię, zwiążcie silnie sznury,
„I wrzucie w wieżę! ale niech tam który
„Kułakiem dobrze tusta mu zaciska,
„By głupim wrzaskiem nieobudził księżny,
„Ni służby w zamku — a nie jest orężny,
„Więc idźcie śmiało!“ —

Rzekł, a oni poszli
Chyłkiem nad gwarną Rawą wśród zarośli.

A Janusz czekał drżąc — oko i ucho
Posłał za nimi. — Po chwili z tej strony
Krzyk urywany rozdarł ciszę głuchą,
I zcichnął nagle, znać gwałtem stłumiony.

I kiedy księżna wyjrzała ze trwoga,
Już cicho, pusto było wśród ogrodu,
I tylko drzewa, zbudzone nad drogą,
Szeleszcząc drżały z bojaźni i chłodu.

W białych ramionach kiedy usnę żonie,
Pomyślę, że ja na krakowskim tronie.

Tak dumal książę, a dumy wiatr niesie,
I czarna wrona po nad drogą drze się
Złe wróżby kracząc — hej, hej książę panie,
Nie będzie tobie miłe powitanie —
Czarna nowina czeka tam na ciebie,
I czoło w troski, jak w błoto, zagrzebie.

IV.

Już jesień żółte posypała liście,
Gdy książę wracał z Krakowa do Rawy —
Snuje się orszak wśród srebrnej kurzawy,
Z poszany k' księciu mileżąc uroczyście.

Chmurny był książę, zgryzotą poblady,
Bo zawiedzione nadzieje o tronie
Kamieniem smutku na duszę mu padły.
Jechał i dumal o swej młodej żonie. —
Ona jedyną dumą teraz jego,
Jedyną gwiazdą dla myśli starego,
Więc dumal sobie: złe przejdzie jak woda,
Kiedy mi w oczy spojrzysz żonka młoda;

Przed bramą zamku Janusz pochylony
Do ziemi księciu wybija pokłony,
Całuje szaty i obima nogi:
„Witajże! witaj wielki książę z drogi!“
A książę w koło zdziwiony wzrok wodzi,
Głasnął Janusza po plecach, i prawi:
„Stary mój sługo, gdzież to księżna bawi,
„Że mnie powitać z drogi nieprzychodzi?“
A Janusz mruczy: „Księżna słaba siedzi
„W komnacie swojej.“ Mówił to, a oczy
Przed wzrokiem księcia w czarną ziemię boczy,
I głos mu dziwnie drżał przy odpowiedzi.

Więc gdy stanęli w komnacie zamkowej,
Książę się zwrócił i rzekł temi słowy:
„Stary! ty wiesz coś — twoja siwa głowa,
„Jako grób smutna, złe mi wieści chowa.

„Czemu ty stary drżałeś, gdyś mnie witał?
„Czemu, gdym ciebie o księżnę zapytał —
„To oczy młynkiem w kół mojego wzroku
„Biegły, jak gdybyś bał się, bym ci w oku
„Myśli nie złapał i nieodgadł sprawy?
„Pomnę, gdym wracał z litewskiej wyprawy,
„A w zamku leżał zimny trup rodzica,
„Tak wtedyś płakał, tak bladeś miał lica,
„Tak drżałeś wtedy. Powiedz! co się stało?
„Czy psów litewskich rojem naleciało
„Krwawe na sioła rzucając pożary?
„Czy księżna kona — czy?... no gadaj stary!”

Janusz niemówił nic, jeno drżącemi
Rękami księciu dał jakieś pisanie,
I wzrok z bojaźnią upuszczał do ziemi,
I bladł na twarzy jak wapno na ścianie.

A pismo było: W spokojnym klasztorze
Pozwólcie księżę spędzić żywot lichy,
Bo serce moje kochać was nie może.
Z grzeszną miłością w kąć klasztorny, cichy
Uciekam, czynić tu żal za me grzechy;
Za szczęście wasze będą me pacierze;
Nieklnijcie, ale żałujcie mnie szczerze.

„W klasztorze?” księżę zawrzaskał ponury,
Aż zamek dudnił, aż się wstrząsnęły mury,

I chwycił ręką Janusza za ramie:
„Gdzie ona, stary — mów! bo cię połamię,
„Czemu uciekła?”

A Janusz, drżąc wielce,
O giermku cedził powieść po kropelce,
I kończył patrząc w groźną księcia postać;
„Więc ja go księżę kazałem ochłostać,
„I w turmę wsadzić co najgłębszą kazał,
„I jako oka pilnowałem w głowie;
„Lecz raz, gdym ranne niósł mu pożywienie,
„Zastąpiłem puste, otwarte więzienie —
„I szat ostatki w skrwawionej okowie —
„I ten różaniec przy kajdanach leżał,
„On mnie się zdaje do księżny należał.
„Od tego czasu, jakoś w dwie niedzieli
„Księżna w klasztornej zamknęła się celi.”

„Dosyć!” rzekł księżę, bo słowa go piekły,
Zerwał się z krzesła, i latał jak wściekły.

„Idź! zbieraj ludzi, niech tu staną zbrojnie,
„I niech ryszstunek wezmą jak ku wojnie.
„Na ojca trumnę, i na rany Boże
„Klnę się, dopóty głowy w sen nie złożę,

„Ani się dotknę chleba albo soli,
„Póki się zadość nie stanie mej woli.
„Klasztor rozwałę, na okruchy skruszę,
„Ołtarze zrąbię, ale ją mieć muszę.“

V.

Czemuż to dzwony tak żałośnie płaczą?
Czy zażegnania po powietrzu znaczą
Przeciwko chmurom, co się dookoła
Pozawieszały u niebiosów czoła,
I w czarną ziemię brudne leją deszcze?

Czemuż to wicher tak smutno szeleszcze?
Jakież to pieśni porywa ze sobą?
Treść ich boleścią — a nuta żalobą.

Ku kościołowi pośród długiej drogi
Dymią pochodnie, czerni się lud mnogi,

I księża nucą poważnemi słowy,
A dzwony dzwonią z wieży marsz grobowy.

To Hanny ciało w ciemny grób prowadzą —
Już postawili trumnę wśród kościoła,
Po gorzkim życiu wonnym dymem kadzą,
I lud z pacierzem ukłęknał do koła.

A po nad ludem sterczy księżę twarzą —
Blaski pochodni po jej szczerbach łążą,
Wśród dymu gromnie zda się ta twarz składać,
Skurczać, rozciągać, wznosić i opadać.
I lud z bojaźnią patrzył ku tej stronie,
Gdzie klęczał księżę, bo o księżny zgonie,
O gniewie księcia dziwne, straszne wieści
Cicho do ucha lud sobie powiadał.

Któż księżnę widział w przedzgonnej boleści?
Któż do stygnących rąk gromnicę wkładał?
Nikt nic nie wiedział. — Jednego zarania
W czeladną izbę przyszedł Janusz stary,
I kazał służbie poustawiać mary,
Mówiąc, że księżna po długiej niemocy
Oddała ducha Bogu dzisiaj w nocy.
A ludzie nieraz widywali przecie
Błądzą twarz księżny z za więziennej kraty;
Nieraz jęk wyszedł boleścią bogaty
Z wilgotnych murów cichą nocą w lecie;

I wczesnem ranem, gdy mgła w polach leży,
Nabożne pieśni słyhać było z wieży,
Że ludzie wiejscy stawali wśród drogi
Ze łzą litośną słuchając niebogi.

Mówili dworscy, że przed zgonem księżny,
Na dni niewiele, jakiś człek orężny
Od ojca księżny przyleciał do księcia,
Że księżę zląkł się i do niepojęcia
Rozjadi się gniewem, zdarł pismo w kawały,
I podsłuchano jak wzruszony cały
Gadał sam z sobą: „winny czy niewinny,
Świadców nie trzeba — będzie rozwód inny“...
Jak na Janusza klasnął w dłoń dwa razy,
I długo jakieś dawał mu rozkazy...
Straszne rozkazy widać szeptał z cicha,
Bo Janusz wyszedł poblady jak chusta,
I tak się żegnał jak od złego licha,
I nieprzytomnie ruszał blade usta.

Takie się wieści rozlazily kołem,
Z ust do ust pełznąc jako wąż po trawie,
Kryjąc się w cieniu przed książęcem czołem,
Co wśród pochodni wyglądało prawie,
Jakby kamienne sklepienie na grobie —
Nieznane ludziom kryjąc myśli w sobie. —

Książę się modli. Toż modłem zwać trzeba,
Bo ręce złożył i wargami rusza;
Ale daleka znać od modłów dusza,
I dalsza jeszcze od spokoju nieba,
Bo nieraz wzrok mu tak dziko zabłyśnie,
I tak się strasznie wpatruje w marmury,
Że zda się marmur w dwoje się rozpryśnić;
I warga stanie, nim pacierz wygada,
I dłoń od dłoni bezwładnie odpada.

Dopiero kiedy „requiescat“ mnichy
Zawiedli chórem, że od śpiewu siły
Zadrżały serca, mury i mogiły —
Zbudził się książę znów z wyrazem pychy,
I dumne czoło znów podniósł ku niebu,
I był już takim do końca pogrzebu;
I zimnem czołem i suchą powieką
Patrzył jak grobów otwierano wieko,
Jak przodków trumny wśród stęchłej pieczary
Spłowiłe k'niemu wyszczerzały lica...
Gdy po nich blaskiem ślizgła się gromnica.

Już trumna księżny nikła pośród cieni,
On ni lży jednej nierzucił na trumnę,
Wyszedł z kościoła, krok i lica dumne.

Poszedł, a za nim ludzkie twarze cisły
I wzrok ciekawy i dzikie domysły.

VI.

O błogo! błogo! gdy wśród życia zimy
Usiądzie starzec, a wianek rodzimy
W kół go otoczy i wnuków i dzieci,
Gdy piękne życie cnotliwej przeszłości,
Jak na kominku ogień mu zaświeci,
I miłem ciepłem stare grzeje kości;
Lecz gdy rodzinę czarna ziemia skryje,
I człek sam jeden na starość zostanie,
Jak suche drzewo w polu, i wiatr bije
Zimnemi skrzydły, a śnieżne posłanie
Żadnej już szczęścia nadziei nie wieści,
I gdy spruchniała wewnątrz dusza może
Brudne wspomnienia złego życia mieści —
O taka starość — to przekleństwo boże!

„O taka starość to przekleństwo boże!“
Mawiał pan Rawy, gdy w noc bezsenne
W pustych komnatach sam zalegał łoże,
Gdy się w pamięci snuły myśli ciemne.
Nieraz się zrywał w takie niepokoje,
Siadał na łożu, drżąc patrzył po ścianach,
Gdzie przodków twarze i rdzawe ich zbroje
Rzędem na długich wisiały dywanach —
I nieraz nocie przesiedział tak całe,
A z żółtą twarzą, z której włosy białe
Jak dym wstawały, był jako trup świeży,
Co o północy budzi się i bieży
Na miejsca dawne, gdzie snuł grzechów wątek,
Thukąc się duszą wśród życia pamiętek.

Dziś noc już późna — zamek spi — na górze
W komnacie księcia jeszcze światło płonie —
Książę utopił głowę w obie dłonie,
Siedzi i słucha, a mnich mu w kapturze
Ze świętej księgi święte czyta słowa.
Kaganka światło drży jak w niepokojach
Myśl — po obrazach skacze i po zbrojach:
To je rozświeci — to je w ciemność chowa,
A w polu hula wiatr i dziko wyje,
I grubym deszczem w okna zamku bije. —

A mnich o Jobie czytał mu powieści:
Jako żył wesół lat sto i czterdzieści,

I widział syny swe i synów dzieci.
Tutaj mnich przestał, książę siwą głową
Pokiwał smutnie — westchnieniem na nowo
Piers mu nabrzmiała i w oku lza świeci.

„I widział syny swe i synów dzieci —
„Ja widzę tylko stare zamku mury,
„Najemne sługi i ten wzrok ponury
„W twarzy mych przodków, co z wyrzutem prawie
„Zda się wychylać ku mnie z martwych liców,
„Żem niedochował potomka ich sławie,
„Żem niedochował ich czynom dziedziców.

„Butne mi myśli snuły się po głowie —
„Bóg ich nieziścił, sądziłem: synowie
„Dosięgną ręką, gdzie ja myślą grzebię —
„Człek inak tutaj, a Bóg inak w niebie.

„Sam — jak ostatnie jabłko na jabłoni,
„W późnej jesieni, wnet je wiatr zgoni —
„Dognije w ziemi i — bez wieści może —
„O taka starość — to przekleństwo Boże!“

Umilknął książę — mnich czoło obcierał
I chłodnym wzrokiem po ścianach spozierał,
Czekając, czyli czytać mu nie każą.

Znowu myśl inna przeszła księciu twarzą,
Bo zbladł, drzeć począł i mówił powoli:

„Ha! jeszcze ona dręczy w snach — to boli!
„Staje przedemną wyschnięta i blada
„Co noc, i... zbójco! cicho mi powiada,
„I pokasane z głodu dłonie wznosi,
„I o sąd straszny na mnie Boga prosi.
„O! niewierzysz mnichu, jak boleśnie
„Słyszeć przekleństwo i w burzy i bezśnie,
„I w oczach ludzi czytać potępienie,
„I w ciszy strasznej słyszeć swe sumienie.

„Ty mi mówiłeś, że w pańskim zakonie,
„Gdy się niewiarą zhańbiła niewiasta,
„Lud ją za białe wyprowadzał dłonie
„I kamienował za bramami miasta;
„Lecz w mojej Hannie niebyło niewiary,
„Bo nie gonila z gachem do ojczyzny,
„Tylko jej wstętny był mój zamek stary,
„Tylko się mojej ulęka siwizny...
„I — jak przystało na niewiastę świętą —
„Chciała, aby ją w klasztorze zamknięto,
„By nie być moją, ale i niczyją,
„Jeno żyć czystą na grobie lilią.

„Czułem ja dobrze, co jej męka znaczy,
„Ale niemogłem, niemogłem inaczej.

„Biskup mnie klątwą częstował raz wtóry,
„Ojciec najazdem groził, jeśli córy
„Niewydam jemu — i rozwód zrobili;
„A ja kochałem ją — kochałem bardziej,
„Niżli ty czujesz mnichu, niż ci hardzi
„Ludzie myśleli, żyć bez niej'm się lękał,
„Więc przed więziona jam nieraz uklekał,
„Chryplem od prośby, by mnie nie rzuciła.
„Lecz ani prośby, ni wściekłość katuszy
„Niezgięły już jej obrażonej duszy;
„Cierpiała długo, strasznie, lecz milczała,
„Więc“ — tutaj księżę urwał smutną mowę,
I smutnym myślom zwiesił na dół głowę.

Dziwna to zmiana w księciu. On przed laty
Lubił sam jeden siadać wśród komnaty,
I tam rozpuszczał myśli w dumy złote,
I duszę puszczał w niekłamną ochotę,
A dzisiaj bał się sam na sam w świetlicy
Zostać z boleścią i rozpaczą w parze:
Więc lgnął do ludzi jako ćma do świecy,
Lgnął tam, gdzie ludzkie czuł gwary i twarze.
Dawniej radości nie zdradził, ni skargi,
A dziś mu boleść rozwiązała wargi.

I patrzeie — znowu mówi: — „Mnichu, mnichu,
„Dużom goryczy miał w życia kielichu,
„I ludzie trąbią po całej koronie
„O księciu z Rawy i o jego żonie,

„A przecież czuję żebym się nie skarżył,
„Gdyby mnie Pan Bóg choć dzieckiem obdarzył
„Na lata stare, — nie padłbym pod trudem.

„Och! gdyby Pan Bóg dał mi dziecko cudem,
„I dał mu duszę, jak żelazne zbroje,
„I dał mu myśli, jak są myśli moje —
„Księżę, wasz klasztor ozłociłbym cały,
„Żeby aż w niebie olśnęli anieli
„Od jego blasku. Mnichu! ty w swej celi
„Dużo o cudach czytał, co się działy;
„Powiedz, gdzie święty, tym cudem wsławiony,
„Pójdę i w modłach kamienie rozorzę
„Starem kolanem? — Powiedz, czy Bóg może
„Taki cud mnichu?“ —

Czekał, — mnich znużony

Nad świętą księgą chrapał mocno we śnie,
Bo noc tak późna, bo mnich także człowiek,
Bo troska życia nieklóła mu powiek.

Książę popatrzał i głową boleśnie
Kiwał wpatrzony na spiącego mnicha,
Patrzył z zazdrością i z pogardą może,
I na pierś zwiesił głowę i rzekł z cicha:
„O taka starość to przekleństwo Boże!“

VII.

Jako żółw idę do końca powieści,
Odpoczywając na każdej boleści,
Na każdej ranie. Gdy do końca zdążę
Pluniecie może, że kapłan niewiąże
Stulą rąk dwoje, że niema wesela
Na końcu pieśni; lecz śmiertelne łoże;
A na niem trupa Janusza położę.

Śmierć, to ślub także, wieczność niepojęta —
Jak panna młoda, w welon osłonięta,
Siny pierścionek kładzie na twej dłoni,
A serce trwogą zdjęte, jak dzwon dzwoni.
Przedśmiertny dzwonek — ostatnia muzyka,
Co po nad tobą gra i w serce wnika.

Znacie zapewne ten dzwonek proroczy
Śmierci, bo kiedy we łzach krwawe oczy,
A w pustej duszy nadziei ostatki —
Tłukąc się, jeszcze słuchają wśród trwogi
Ostatnich dechów konającej matki,
Ojca, lub brata, lub kochanki drogiej —
O! w takiej chwili on dzwonek ci drżący
Bolesną mową do ucha zagada:
Że wnet utracisz, co kochasz gorąco;
To też dźwięk owy jakby rdza osiada
W pamięci człeka. — Pamięć smutku długa...

Dzisiaj umierał wierny księcia sługa
Janusz. Od śmierci księżnej zapomniany,
Mało przychodził pomiędzy dworzany,
Ani się księżę spytał o starego,
Bał się go prawie i stronił od niego.
Potem ociemniał Janusz; więc w swej celi
Jak w grobie siedział wciąż z różańcem w ręce,
W pierś się pokutnie bijąc, i przy męce
Bożej klęczącym ciągle go widzieli.

Dziś umierając chciał księcia zobaczyć,
Więc drzwi skrzypnęły i wstąpił w świetlicę
Księżę powoli, smutny, zadumany —
Skinieniem ręki oddalił dworzany,
Przyszedł do łóża i na sługi lice
Dłoń swą położył i rzekł: Czego stary?

„Och to wy książę“ — i staremu słudze,
Z zamkniętych powiek łzy kapwały w strudze,
I drżące ręce wznosił nad posłanie —
„Jam was tak dawno już nie słyszał panie!
„Wy się brzydzicie sługą, co wam g' woli
„W zbójcę się zmienił, o to bardzo boli!
„O ciężka służba była dla Janusza,
„Bo w grzech, jak w chwasty, porosła mu dusza;
„Lecz ja cię nieklnę za to, bom ku tobie
„Lgnął, jak pies k'panu, chociaż pan go kopie —
„Lecz straszny sekret powiedzieć wam muszę,
„Nim ciało zziębnie, nim wyzionę duszę.

„Wy panie, pewnie pamiętać musicie,
„Jak po tej nocy, co się tak rozżarła
„Burzą i deszczem, przyszedłem o świcie
„W waszą komnatę, a słowo: umarła...
„Na białych ustach drżało mi tak głucho,
„Jakbym się strachał, by mnie własne ucho
„Niepod słuchało; lecz kiedy w więzienie
„Wróciłem potem, i z trupa odzienie
„Zwlekać począłem, by go w strój bogaty
„Odziać, i w górne nocą nieść komnaty,
„Jakoś mi kazał księżę był — ujrzałem —
„Obwita w szaty po nad księżny ciałem
„W zimne uściski matki utuloną...
„Na suchych piersiach — dziecinę uspioną...
„Więc w drżące dłonie to dziecko chwyciłem,
„Niosłem do siebie, i mlekiem cucilem,

„Aż kiedy oczka otworzyło drobne,
„Gdym się rozpatrzył w jego leżku małym,
„Z wielkiej radości, jak bóbr, zapłakałem,
„Bo tak to dziecko było wam podobne,
„Że mi się zdało, że się ów wiek wrócił,
„Gdym przy kołysce dla was dumki nucił;
„I biegłem do was z tą radą nowiną,
„A lzy, jak groch, mi od radości płyną;
„Wszedłem — i do nóg wam się wtedy rzucił;
„Lecz, gdyś odemnie gniewną twarz odwrócił,
„I odpychając mnie, gdyś mówił ksiązę:
„Idź mi precz z oczu starcze podły, wraży
„Daleko, bo ci zbójca patrzy z twarzy,
„To mi tak boleść ścięła serca bicie,
„Że dzień przekląłem, w którym się rodziłem,
„Przekląłem siebie, że jak pies służyłem,
„I zataiłem przed wami to dziecko;
„I mściwy na was wyniosłem je z domu,
„W płachty zwinięte, na wieś — pokryjomu.

„Lecz dziś, gdy boleść z łóżem skula kości,
„Gdy w bezśnie dawne dni odżuwać muszę,
„To dziecko: targa niepokojem duszę. —
„Może to dziecko, bez matki opieki
„Schnąc w dymnej chacie, płacze... gorzko może —
„A płacz sieroty, to przekleństwo boże,
„I potępienie człowieka na wieki:
„Więc weźcie panie to dziecko do siebie,
„To mnie lżej będzie — i księżna tam w niebie
„Się rozraduje, bo to dziecko wasze.“

Tu umilkł Janusz. Ksiązę słuchał mało,
On słyszał tylko że dziecko zostało,
To dosyć jemu. Pierś znów szczęściem rośnie,
Jak wielka rzeka, gdy deszczem we wiośnie
Rozedmie brzegi i w mętą do koła
Otula pościel i łany i siola —
I na tej fali rozigranych myśli
Już majaczeli mu dziedzice przyszli,
Korony, berła, i Bóg wie co dalej . .
I jak rozbitek, gdy na wścieklej fali,
Tracąc nadzieję, deskę ujrzy jeszcze,
Tak on pochwyił w dłonie, jak w dwa kleszcze,
Wpół ostyłego już śmiercią Januszę,
I trząśł nim silnie jakby mu chciał duszę
Co już konała — przywołać na życie,
I w samo ucho wrzeszczał: „gdzież to dziecko?!“

Lecz odpowiedzi księciu już nie dało
Janusza sine i zziębnięte ciało —
Na czarnych ustach marły ciche słowa,
Niezrozumiane, i w dół spadła głowa;

I zamek rawski wśród śniegów zawiei,
Pod chmurnem niebem jak grobu sklepienie —
I dwóch umarłych tulił w swoje cienie,
Jeden trup życia a drugi nadziei.

VIII.

Pożal się Boże! jaki to duch czleka,
Kiedy nieszczęście tak go skarlić umie:

Ano pan Rawski — taki wielki w dumie,
Taki poważny jak od trumien wieka,
Teraz, gdy z śmiercią starego Janusza
Nadzieją wielką wytężona dusza
Pękła w boleści, jak zerwana struna,
Padł — jak strzaskane drzewo od pioruna,
I kłął starego aż strach słuchać było,
Aż się trup zimny trząśł pod przekleństw siłą.
Potem znów płakał, jak dziecko w powiciu,
Bo za ostatnią już nadzieją w życiu.
A kiedy w oczach słonych łez nie stało,
Zbłąkane oko o bolu gadało,

Co mu wrzał w duszy. I od chwili onej
W kłębek skurezony, jak robak skrwawiony,
Przesiedział nieraz całe dni ponury,
A przeszłość myśli wiała mu, jak chmury,
Myśli, gryzące mu życia ostatki.

I nieraz, w częstych chwilach obłąkania,
Zrywał się z wrzaskiem ze swego posłania,
I — słał swe sługi między wiejskie chatki,
I kędy we wsi jaka baba żywa,
Pytał, czy jego syna mu nie skrywa?
Od piersi matki kazał im brać dziatki,
I oni nieśli dla dziwaka księcia
Wśród płaczu matki, krzyku pacholęcia. —

Przed bramą matki za swą dziatwą w jęku,
A księżę dziecko piastuje na ręku:
„A dajcież dziecku zabaw i słodyczy,
„Niech tak za swoją piastunką nie krzyczy.“
I z obłąkaną radością wśród lica
Latał przed obraz swojego rodzica,
Niańczył i śpiewał jak piastunka jaka,
Patrząc na ojca, to znów na chłopaka,
Jakby chciał sprawdzić czy podobne lice?
I kazał znosić błyszczące szabllice,
Tkał dziecku w rękę, aże zapłakało,
I z trwogą na bok główkę odwracało.

„Boisz się szabli — to ty chłopskie plemie.“
I puścił z gniewem chłopaka na ziemię,
I precz ze zamku kazał go wyrzucić,
Potem padł w krzesło, i począł się smucić. —
I znowu inne podnosił ze ziemi,
Śpiewał i niańczył i bawiąc się niemi,
Mówił: „mam dziecko — bo to dziecko moje.“
To w podejrzeniach kładł je znów na ziemi,
I precz uciekał, krzyząc: „to nie moje!“

Aż go raz słudzy przed ojca obrazem
Z wiejskim dzieciątkiem nieżywego razem
Znaleźli z rana; — — dziecko ścisnął w pięście,
I leżał siny z oczmi otwartemi,
Jakby chciał niemi jeszcze gonić szczęście,
Co już dla niego uciekło precz z ziemi.

IX.

Na zamku okna pokryte zasłoną,
Wokoło trumny żółte świece płoną,
Mnich śpiewa psalmy, a w bogatej trumnie
Rawski pan leży, wyciągnięty dumnie.

Na złotem czole przyschła boleść dzika.
Jeszcze po śmierci trwogę w służbie rodzi,
Służba na palcach koło trumny chodzi,
By nieobudzić z martwych nieboszczyka.

W tem z spodu zamku jakaś piosnka łzawa
Słyszeć się dała, i służbie się zdało,
Że księcia ciało w tej chwili zadrżało.

Kto piosnkę nucił? — Pod zamkiem kurzawa
Srebrna się wije pomiędzy topole,
A drogą leci ubogie pachole,
O jasnych włosach i ze smutkiem w głosie
Coś wyśpiewuje po porannej rosie,
I jasne oczka wodzi po lazurze,
Jakby Pan Jezus sam go słuchał w górze
I święci — a tak głośno śpiewa mały,
Jakby sam jeden był na ziemi całej.

(*Spiew*).

„Pod niebiosami, po czarnej chmurze
Śmiga jaskółka skrzydłem na burzę,
To głaska Rawę i piórka płucze,
To w twarde mury piersiami tłucze,
Jakby się przebić przez mury chciała,
A kwili, jakby kogoś witała.

Jaskółka lata, burz się spodziewa,
Bo się pan Rawski na żonkę gniewa,
Hehej! niepróżno bije skrzydłami
O rdzawe kraty, bo za kratami
Żona młodziuchna płacze w więzieniu,
Mała dziecina spi na ramieniu.

Oj! gdyby ojciec słyszał te wieści,
Izbę by łzami zalał z boleści,

Zbrojnych po ciebie wysłałby ludzi;
Ale się stary z grobu nie zbudzi.

Hej Rawski panie, Pan Bóg na niebie,
Pan Bóg na niebie — to skarże ciebie...
Żeś tak pokarał żonkę bez winy — —
To i niepoznasz własnej dzieciny.“

I któż pacholę nauczył tych pieśni?
Może lzy księżnej co z więziennych pleśni
Przez twarde kamień z cicha przeciekały,
Pomiędzy lud się pieśnią rozleciały,
Jak ze skrwawioną piersią gołąb biały?
Zmięczyła kamień we lzy strojąc lice —
Ona umiała rzewnie, cudnie mówić,
Więc i kamienie musiała namówić,
Że wygadały ludziom tajemnicę;
I lud po siołach długimi latami
Mazowieckiego księcia klnie pieśniami

KONIEC.



G. 10979